

# O ciele, o seksualności, Cindy Crawford i cierpieniu

Pressje, 07.02.2007

Pressje, 07.02.2007

O ciele, o seksualności, Cindy Crawford i cierpieniu

z Dariuszem Karłowiczem rozmawiają Artur Bazak i Jakub Lubelski

Bez przerwy słyszę, że chrześcijanie nienawidzą ciała. A żyjemy w czasach kiedy w Wielkim Poście, mało kto odmawia sobie kolacji o poważniejszych praktykach ascetycznych nie wspominając. Proszę sobie wyobrazić sytuację, w której jakiś proboszcz zaleca swoim parafianom, aby przez czterdzieści dni niczego nie jedli.

Łatwo sobie wyobrazić alarm, który by podniesiono na całą Polskę: „Średniowiecze! Ciemnota!”. Nie byłoby końca takim lamentom. Tymczasem całkiem niedawno mój znajmy dwukrotnie, przeszedł czterdziestodniową dietę. Nic nie jadł, pił tylko wodę. Ale to już nie jest średniowiecze. To pełna nowoczesność - chodziło przecież o sylwetkę, nie o mądrość czy zbawienie. Przy tym, czego wymaga od swoich podopiecznych przeciętny instruktor siłowni, dziś nawet kartuzi to hedoniści!"

**Wcielenie w czasach post-hedonistycznych,**

**(PRESSJE, Nowa rewolucja seksualna, Kraków 2006/2007)**

*z Dariuszem Karłowiczem*

*rozmawiają Artur Bazak i Jakub Lubelski*

**Artur Bazak:** W opisie kondycji współczesnej Europy i chrześcijaństwa w Europie dochodzi do głosu nuta pesymizmu, czy nawet katastrofizmu, z jednej strony oraz głos nadziei, z drugiej. Pochrześcijańska Europa - jak pisze o tym sugestywnie George Weigel przechodzi kryzys cywilizacyjnego morale, dokonując na własne życzenie wyludnienia. Prof. Rocco Butiglione stawia sprawę ostrzej, kiedy twierdzi, że „*Europa porzucając chrześcijaństwo, popełniła samobójstwo.*” Lekiem na ten stan chorobowy naszego kontynentu ma być chrześcijaństwo. Mamy wrażenie, że w sensie podstawowym fundamentalny spór rozgrywa się obecnie na gruncie antropologii. A dokładniej rzecz ujmując - sięgając do słów Jana Pawła II z Jego Katechez środowych - o antropologię adekwatną, czyli takie ujęcie i rozumienie człowieka, które odpowiada temu, co istotowo ludzkie. Tym, co radykalnie odróżnia spojrzenie chrześcijańskie od sekularnego jest stosunek do ciała. Zanim powiemy sobie o chrześcijańskiej perspektywie, proszę nam powiedzieć, czy obecnie ciało traktowane jest tak poważnie, jak na to zasługuje?

**Dariusz Karłowicz:** Żyjemy w *czasach posthedonistycznych* - tak najkrócej wygląda moja diagnoza obecności ciała we współczesnej kulturze. Koncentracja na cielesności i seksualności, która wydawała się jednym z najważniejszych przesłań przełomu 68 roku - stała się punktem wyjścia do modelu ponurej, bo nieludzkiej religijności, która nie ma nic wspólnego ani z sympatią wobec empirycznej cielesności, ani w ogóle z niczym szczególnie przyjemnym.

Oczywiście na pozór hedonizm święci wciąż triumfy. To złudzenie szczególnie silnie przeżywamy w Polsce, zwłaszcza gdy nasza młodość mijają w bezpłciowej epoce PRL-u. Jakiś czas temu odprowadzałem na dworzec przyjaciela, który opowiadał mi o kłopotach wychowawczych ze swoim siedemnastoletnim synem. Wtedy dotarło do mnie, że idziemy wzdłuż dwóch, długich szpalerów stojaków z kolorowymi pismami, na których prężą się przepiękne dziewczyny. Pomyślałem sobie, że było mi dużo łatwiej być siedemnastolatkiem i nie zwariować, bo jeśli idzie o liczbę bodźców, które dziś atakują buzujących hormonami młodzieńców to my poruszaliśmy się w scenografii niezwykle aseksualnej. Dlatego - choć oczywiście Eros i wtedy potrafił znaleźć powody by wywoływać stały zawrót głowy, to jednak dzisiaj - za sprawą mediów - to nie wymaga już żadnego wysiłku wyobraźni - bo bodźce kalibrowane są pod kątem tych najbardziej ospałych. Władza Erosa wydaje się niczym nie zagrożona i co tu gadać niezwykle natarczywa. Ten klimat rozciągniętych na cały rok bachanaliów stał się czymś na pozór zupełnie oczywistym.

Tyle, że to tylko lukier. Ten erotyzm wcale nie zbliża nas do tego, co ludzkie - i to nawet jeśli to, co ludzkie sztucznie ograniczylibyśmy tylko do tego, co zmysłowe i cielesne. Paradoksalnie on właśnie od empirycznej cielesności oddala - czyniąc ją czymś nikczemnym, wstydliwym, godnym pogardy. Jak się przyjrzeć bliżej, okazuje się, że tym, co się sprzedaje w opakowaniu hedonizmu Arystyp byłby raczej przerażony. Kiedy popatrzymy na eksponowane w kioskach okładki, to najbardziej uderzające jest ich wątpliwe odniesienie do rzeczywistości. Element kreacji dawno już przekroczył poziom tego, co można nazwać drobnym retuszem, korektą czy upiększeniem. To, co tam widzimy, to lipa, rzeczywistość wykreowana - to już nie tyle cielesność ile rodzaj para-religijnej sublimacji realnej cielesności. Ktoś, kogo wyobrażenia o

erotyce kształtują te obrazy, będzie przerażony, kiedy przytuli się do dziewczyny, która ma krostę na nosie, krzywiczy dołek między piersiami albo wystające łopatki. Łatwo sobie wyobrazić jak nędznym czuje się wierny tej religii patrząc na własne odbicie w lustrze, na niedoskonałość sylwetki, wiotczejące ciało, na procesy starzenia - jak trudno mu bez obrzydzenia znosić empiryczną cielesność innych, nawet bliskich ludzi - ich kalectwo, choroby, starość. Te wszystkie bulimie, anoreksje nie wzięły się z niczego. Realne cechy cielesności, która rzekomo stanowi centrum współczesnej kultury, stają się czymś wstydliwym, rodzajem grzechu, źródłem poczucia winy bądź gdy dotyczą innych oburzenia i wstrętu - jako tabu muszą być eliminowane. Mają zniknąć z horyzontu naszego doświadczenia. Należy je poprawić bądź zlikwidować. Zabiegi w photo-shopie, operacje plastyczne, a jeśli to niemożliwie - likwidacja fizyczna. Tego ma po prostu nie być. Tego się nie przyjmuje do wiadomości.

Problem polega na tym, że przedmiotem kultu i zarazem normą, której przecież nikt nie może sprostać stało się coś w rodzaju *ciała idealnego*. Chodzi o takie ciało, które transcenduje empirię, ale jednocześnie nie przestaje być czymś cielesnym. To jest ciągle opowieść o cielesności - która stanowi podstawowy wymiar tej religijności - z tą różnicą, że ona jest już nieempiryczna. To tak, jakby stanąć w pół kroku między sferą duchową a cielesną, czy dokładniej - przypisać cielesności cechy bytu duchowego. Jest taka modna myśl z lat trzydziestych ubiegłego wieku, która mówi, że najgorsze pomysły polityczne to zsekularyzowane koncepcje teologiczne. Chodzi głównie o totalitaryzm, który parodiował chrześcijańskie wyobrażenie Królestwa Bożego. Powiada się, że koszarne utopie polityczne XX wieku były zsekularyzowaną wersją przeniesionej w doczesność nadziei eschatologicznej, nadziei na wspólnotę doskonałą gdzie nie ma już zła, niesprawiedliwości, cierpienia i grzechu. Natomiast w wypadku tej utopii czy też quasi

religii post-hedonistycznej narzuca się analogia do doktryny zmartwychwstania ciał. Sekularyzacji podlega nadzieja zmartwychwstania w ciele przemienionym, którego już nie dotyczą skutki grzechu pierworodnego - a więc choroby, cierpienia, upływ czasu, śmierć. Nawiasem mówiąc mieści się to w ogólniejszej regule, że jeśli straszne pomysły XX wieku miały podłoże w oszalałej wspólnotowości, to te dzisiejsze biorą się z szaleństw egoizmu. Dobrym przykładem są praktyki eugeniczne. Kiedyś kwitły w imię doskonałości rasy, dziś broni się ich w imię komfortu życia jednostek. Różnica nie mała choć trzeba przyznać, że możliwa do zignorowania z perspektywy tych, którzy zostają uznani za niegodnych życia i podlegających likwidacji.

Ciała bogiń i herosów, które oglądamy w stacjach telewizyjnych, w wideoklipach, na okładkach i rozkładówkach pism są diabelskim chichotem z idei *ciała przemienionego*. Te ciała są ciałami bóstw czy - jakby powiedział Justyn Filozof - nie podlegającymi zepsuciu *ciałami zmartwychwstałymi* - ciałami ludzi, którzy nie cierpią i nie umierają. Przemianę gwarantuje zespół zabiegów magiczno-kosmetycznych. Warunkiem jest oczywiście wiara i posłuszeństwo. Główną nadzieją i obietnicą *kultury ciała idealnego* jest wymazanie myśli o śmierci - obietnica, że nie pomrzemy, a dokładniej obietnica względnie spójnego życia w iluzji, że nie pomrzemy. Ta wiara jest więc rodzajem niewiary w śmierć ze wszystkimi tego konsekwencjami, a więc przede wszystkim obietnicą całkowitej nieważkości moralnej, doskonałej nieomal nieodpowiedzialności.

To przekreśla jedną z najstarszych europejskich tradycji duchowych - tradycję filozofii pojętej jako przygotowanie do śmierci. Istotą tej tradycji jest świadomość, że każda chwila, którą przekraczamy, jest

jedyna w swoim rodzaju. Jeśli mamy okazję zrobić coś czego ostatecznie nie robimy, to, to nigdy nie wróci. Nigdy nie można wejść do tej samej rzeki - nie można zresetować tego, co było. Dlatego trzeba najwyższej uwagi, stałego napięcia rozumu i ducha. Jeśli czas człowieka jest policzony, to trzeba mądrze i pięknie wykorzystać każda chwilę. Docenić jej urodę, barwę, smak. Nie ma czasu do stracenia więc, trzeba robić to, co najważniejsze i najpiękniejsze, niczego nie uronić - trzeba jak wierzą chrześcijanie śpieszyć się kochać ludzi. Tymczasem istotą *religii ciała idealnego* stanowi przekonanie, że do rzeki można wchodzić dowolną liczbę razy. To miało uczynić świat pociągającym a życie pogodniejszym. Czy tak się stało? Zapomniano, że właśnie na tym zasadza się koszmar życia wampirów, koszmar wampirzej nieśmiertelności. Życie wampirów jest puste i nic w nim nie może być naprawdę godne namiętności czy wysiłku - bo przeniesienie wieczności w doczesność sprawia nie tylko to, że nic nie mija, ale i to, że nic donikąd nie prowadzi. Nieśmiertelna doczesność jest czymś nieskończenie banalnym, nie wartym wysiłku i starań nie tylko dlatego, że przestaje być czymś ulotnym nie przestając być zaledwie doczesnością, ale i dlatego, że przestaje być cieniem, poprzez który zaglądamy za zasłonę, przestaje być obietnica - stara się być spełnieniem. To powoduje całkowitą nieważność i nieważkość wampirzego żywota, który składa się z samych bezwartościowych choć nieśmiertelnych szpargałów. Do niczego nie trzeba się śpieszyć. Jeśli wszystko może zdarzyć się nieskończoną liczbę razy, to efekt jest taki, że robi się naprawdę nudno. Dlatego ta kultura jest ze swojej istoty całkowicie pozbawiona dramaturgii - niesłychanie monotonna. A ponieważ jednak w naszym wypadku nieśmiertelność jest tylko iluzją - więc do nudy, którą cechują chwile spełnionej obietnicy, dochodzi ogromny wysiłek unikania prawdy, o tym, że jednak i tak pomrzemy, że dotyczą nas choroby i cierpienia, że się starzejemy się. Ten wysiłek utrzymania rzekomo zbawiennej i podobno przyjemnej iluzji ma wielkie koszty. I idzie tu nie tylko o obsesyjny masochistyczny stosunek

wobec własnego ciała, ale również o mechanizm wykluczenia i likwidacji. Przecież tak naprawdę nikt nie jest w stanie sprostać wymogom, które ta wyidealizowana cielesność stawia przed człowiekiem z krwi i kości.

To, że jest to para-religia to właściwie nie ulega wątpliwości. Jeśli by spróbować rozłożyć tradycyjne życie duchowe chrześcijańskie na różne elementy, to moglibyśmy znaleźć parodystyczne odniesienie do nich wszystkich. Weźmy na przykład ascezę. Ćwiczenia chrześcijańskie (askesis = ćwiczenie) biorą się z przeświadczenia, że wielokrotne powtarzanie pewnej czynności w jakimś stopniu zmienia naszą naturę - i to zarówno w obszarze poznania jak i moralnego usposobienia. Stąd centralna dla europejskiej tradycji duchowej kategoria nawyku - którym jest zarówno cnota jak i wada. W para-religii też mamy ćwiczenie, ale w sparodiowanej formie...

### **Jakub Lubelski: Przykładem może być dieta...**

...która jest niesłychanie surowa i która zawiera rozmaite przepisy pokarmowe, ćwiczenia cielesne, pracę nad snem i tym podobne. Tyle, że tu już nie chodzi o rozum i ducha, ale o ciało, które ma zbliżyć się do para-religijnego ideału.

Bez przerwy słyszę, że chrześcijanie nienawidzą ciała. A żyjemy w czasach kiedy w Wielkim Poście, mało kto odmawia sobie kolacji o poważniejszych praktykach ascetycznych nie wspominając. Proszę sobie wyobrazić sytuację, w której jakiś proboszcz zaleca swoim parafianom, aby przez czterdzieści dni niczego nie jedli. Łatwo sobie wyobrazić alarm, który by podniesiono na całą Polskę: „Średniowiecze! Ciemnota!”. Nie byłoby końca takim lamentom. Tymczasem całkiem niedawno mój znajomy dwukrotnie, przeszedł czterdziestodniową dietę. Nic nie jadł, pił tylko wodę. Ale to już nie jest średniowiecze. To pełna nowoczesność - chodziło przecież o sylwetkę, nie o mądrość czy zbawienie. Przy tym, czego wymaga od swoich podopiecznych przeciętny instruktor siłowni, dziś nawet kartuzi to hedoniści!

Niedawno robiono w Polsce wariant formatu „Łabędziem być” (opieram się na tym co pisano bo nie mam telewizora). Jest to program, w którym panie upiększają się kosztem operacji. Nie wiem, czy Panowie byliście kiedykolwiek operowani - z pewnością nie jest to przyjemność. Tymczasem okazało się, że jakaś zawrotna liczba pań zgłosiła się do tego programu - były gotowe dać się pokroić, żeby lepiej wyglądać! A operacje plastyczne są bardzo poważnymi zabiegami, obciążonymi znacznym ryzykiem komplikacji. To daje do myślenia - pokroić się dla urody gotowi są przecież ci sami ludzie, którzy z trwogą przejmują widok wiernych biczących się na ulicach Teheranu, nie mówiąc już o biczownikach chrześcijańskiej Europy, którzy w zbiorowej wyobraźni stanowią ikonę ciemnoty i odrażającej nienawiści do ciała. Która kultura zasługuje zatem na miano wroga ludzkiej cielesności? Czy tej nienawiści nie widać po rozpowszechniających się chorobach takich jak anoreksja czy bulimia? Czy w tym świecie orędownikiem cielesności - tej empirycznej cielesności - nie jest właśnie chrześcijaństwo?

**J.L.: Ta religia ciała idealnego, nosząca cechy sparodiowanej religii chrześcijańskiej, ma też chyba niepokojące, a nawet niebezpieczne konsekwencje?**

Skutkiem religijności cielesnej, jest nie tylko asceza, która karze sobie odmawiać przyjemności podniebienia częściej niż nakazywałoby to zdrowie i gwałtowniej niż pozwala na to rozsądek. Znacznie gorszym skutkiem kultu ciała idealnego i obietnicy-iluzji, że nie pomrzemy jest widoczna dziś próba wyrzucenia cierpienia i śmierci poza horyzont naszego doświadczenia. Dobrze widać jak współczesna kultura eliminuje wszystko, co w niej nie jest zdolne sprostać wymogom stawianym przez nakazy *religii ciała idealnego* wszystko, co radykalnie odbiega od jej ideału. Dobrym przykładem są ludzie starzy lub upośledzeni cieleśnie. W mediach prawie ich nie ma. Dlatego dzisiaj tak łatwo przychodzi przekonywać opinię publiczną, że nie powinny się rodzić dzieci niepełnosprawne, ponieważ człowiek niepełnosprawny w świecie *religii ciała idealnego* jest skandalem!

**A.B.: Można to rozumieć jako swego rodzaju herezję....**

**D.K.:** To raczej grzech śmiertelny. Herezją byłoby twierdzenie, że upośledzenie cielesne nie odbiera racji i sensu życia. Jeśli przesadzam to niewiele. Całkiem niedawno czytałem jak o człowieku ciężko chorym pewien gazetowy geniusz napisał, że „jego życie nie ma już sensu”. A to miało uzasadniać decyzję o eutanazji.

Ktoś mówił mi niedawno, że drugą stroną pięknego faktu, że sporo rodzin z Holandii decyduje się na adoptowanie z Polski dzieci upośledzonych jest to, że w Holandii już od lat nie rodzą się dzieci upośledzone. Na naszych oczach odradza się mentalność eugeniczna. To przerażające barbarzyństwo. Mam wrażenie, że ten sam mechanizm wypycha poza granice świata ludzi starych. Bo jeśli zaczynamy rozumieć nasze życie w kategoriach produktu, który - aby był aprobowany przez konsumenta - musi się legitymować pewną jakością, to w momencie, w którym ta jakość znika, produkt staje się nie do przyjęcia. Kontrola jakości żąda usunięcia go z supermarketu.

Jestem głęboko przekonany, że ważną sprężyną mentalności eutanazyjnej jest chęć wyrzucenia poza obszar naszego karnawałowego świata tych, którzy są nieznośnym dowodem ludzkiej niedoskonałości. Nie wolno psuć zabawy, rozbijać iluzji nieśmiertelności, nie wolno obciążać nikogo żadnymi obowiązkami - zwłaszcza tak przykrymi jak obowiązki wobec chorych i umierających. Dowody przemawiające przeciwko wierze w nieśmiertelność mają zostać usunięte. Elegancki koniec, który nikomu nie psuje humoru ma być kosztem jaki jednostka powinna wziąć na siebie w zamian za komfort życia bez obowiązków

wobec bliźnich. Ludzka przygodność staje się tabu. Krańcową i przerażającą konsekwencją tego sposobu myślenia jest przekonanie, że ludzie upośledzeni, starzy, chorzy są tak niezdolni, iż muszą zniknąć.

Zresztą bardzo dobrze było to widoczne w reakcjach na starość i niedołęźność Jana Pawła II. Po śmierci papieża mówiono, że czynem napisał ostatnią encyklikę, encyklikę cierpienia i śmierci. To była heroiczna próba uobywatelnienia ludzkiej słabości, starości i choroby - podjęta wobec świata, który nie chce o niej słyszeć. To była nauka o godności człowieka, aż do końca. Powiedzmy sobie zresztą szczerze, że to świadectwo papieskiej starości, jak na standardy obecnej kultury, było po prostu nie do zniesienia. Ten trzęsący się starzec ze strużką śliny w kąciku ust był dla większości nie do wytrzymania! Pamiętacie te pełne odpowiedzialności i współczucia głosy postulujących natychmiastowe ustąpienie schorowanego starca. Pamiętacie jak przestrzegano przed setkami „poważnych” następstw pozostawiania Papieża na czele Kościoła. Mówiono o zablokowanych awansach biskupich w Watykanie i o setkach innych niezwykle ważnych spraw. Tak jakby Kościół miał wiele innych zadań niż głosić prawdę o cierpieniu, śmierci i zmartwychwstaniu!

**J.L.: Tylko gdzie znajduje się granica? Czy problemem jest sama idea dyscypliny związanej ze zdrowiem i urodą? Ludzie żyją dziś dłużej, są zdrowsi, a chirurgia plastyczna może naprawdę pomóc.**

To jasne. Nie dramatyzuję, ani siłowni ani diety, ani operacji plastycznych. Jeśli ktoś cierpi, bo ma odstające uszy, czy nos Cyrano de Bergerac, to cudownie, że medycyna pozwala mu sobie z tym kłopotem poradzić. Trudno się martwić, że ludzie są zdrowsi i żyją dłużej. Gorzej jeśli ideałem staje się coś co jest zarazem niewarte osiągnięcia i nieosiągalne. Bo tak naprawdę nawet Cindy Crawford nie jest taka, jak wygląda na okładce i pewnie dla niej samej jej własny ideał jest czymś niedościgłym.

### **A.B.: Czy parodia religijności ogranicza się tylko do kwestii ascezy?**

Z pewnością nie. Mamy tu całą kolekcję podobieństw. Nawrócenie, grzech, upadek, oczyszczenie, praca duchowa, święci i ich historie. Podejrzewam, że każdy z nas doświadczył rozmowy z kimś, kto z pałającym wzrokiem mówił: „odkryłem zdrowe żywienie” albo: „od dzisiaj nie łączę kotleta wieprzowego z ziemniakami”, czy: „nie - wolnym rodnikom!” i tym podobne rzeczy. Najlepiej widać to w ludowej wersji tej religii - w kulturze pop. W pismach kolorowych pełno takich historii, które przypominają żywoty świętych Jakuba de Voragine. „Święty” upadł i tyje, potem wiotczają mu mięśnie, jednak potem podnosi się, idzie na dietę cud, podcina skórę za uszami i już jest lepiej... Potem znowu hamburger i znowu dieta z kiełków! Nie szydę z

tego, bo w tym jest - jak w wielu koszmarach - jakiś element racjonalny. Warto być zdrowym, ludzie dziś żyją dłużej i lepiej. Jeśli to usuwa jakieś części cierpienia z życia, to bardzo dobrze. Ale kiedy przybiera to cechy para-religijne, to konsekwencje mogą być mało zabawne.

**J.L.: Zatem podsumujmy to, co Pan dotychczas powiedział. Zasadniczym problemem - jeśli dobrze zrozumiałem - jest inscenizowana idealizacja ciała. W tym sensie jest ono nieprawdziwe. To powoduje, że tak naprawdę ta *religia ciała idealnego* - jak Pan to określił - jest faktycznie antycielesna, ponieważ jej wyznawca tak naprawdę swoje ciało niszczy....**

**D.K.:** Może się zdarzyć, że zaczyna się od niechęci wobec wąłka tłuszczu na brzuchu a kończy się na tym, że nie akceptuje cielesności w ogóle. Oczywiście może ale nie musi. Tu chodzi o to, że raz ubóstwiona cielesność niszczy samą siebie - bo staje się sama dla siebie nieznośna. Ludziom coraz trudniej ze sobą wytrzymać. Stąd w tej religijności jest zawarty tak silny impuls, żeby erotyzm przenosić w sferę wirtualną. Te „czuciodresy” i cała instytucja seksu wirtualnego, wirtualnych randek czy wirtualnej pornografii bierze się stąd, że bliskość empiryczna drugiego człowieka robi się bardzo trudna dla osoby zafiksowanej postacią erotyki idealnej. Bo ludzie są ludźmi, pachną, pocą się, trawią, starzeją, chorują. Czy ktoś, kto nie akceptuje empirycznej cielesności jest zdolny do autentycznej bliskości?

**J.L.:** Z Pana dalszego wywodu wynika, że tak naprawdę to nie *religia idealnego ciała*, lecz chrześcijaństwo jest największym jego piewcą. Prosiłbym o rozwinięcie tej tezy, bo brzmi ona zaskakująco w czasach, kiedy powszechny pogląd jest taki, że to świecka kultura popularna jest zakochana w ciele - co dla nas ważne, a Kościół jest nieakceptowaną „ciotką cnotką” z zapiętym przy szyi guziczkiem i z zaciśniętymi ustami.

**D.K.:** Kościół nas kieruje do człowieka, który jest integralnie cielesno-duchowy. Integralnie! Chrześcijaństwo nie jest platonizmem, który uważa związek ciała z duszą za akcydentalny. Oczywiście nasza cielesność i duchowość jest popsuta - takie są skutki grzechu pierwotnego. Ale nie jest też tak, że dokładnie wiemy, czego nie będzie w ciele idealnym. W perspektywie chrześcijańskiej miłość do drugiego człowieka, przyjaźń, każde inne odnoszenie się do drugiego człowieka uwzględnia zarówno jego duchowość jak i jego cielesność. I to cielesność od poczęcia po śmierć. I dlatego w chrześcijańskim podejściu do ciała jest miejsce i na zachwyty i na współczucie i na upojenie i na ból. Jest miejsce i na erotyczną ekstazę i na czuwanie w przy umierającym.

Nie ma bardziej radykalnej formy afirmacji cielesności niż fakt, że Logos się wcielił i...urodził! Panowie, nie macie dzieci, ale ja uczestniczyłem w porodach moich synów. Greków przerażała myśl, że tak miałby się narodzić Logos. To jest cielesne wydarzenie. Bardzo cielesne... Podobnie dotkliwie cielesna jest ludzka śmierć. Bóg, który przyszedł na świat w Betlejem umarł w sposób, który był dosadnie cielesny. Jest ciekawe, jak to o czym mówiliśmy wpływa na bardzo wyraźną formę krytyki chrześcijaństwa dzisiaj. Bo religia *ciała idealnego* - tam gdzie oddziałuje na chrześcijaństwo - uważa za nieznośne to wszystko, co jest właśnie chrześcijańską afirmacją cielesności. Również tą obecną w *Ewangeliach*. Przypomnijcie sobie Panowie krytykę, która spadła na „Pasję” Mela Gibsona. Przecież tym, co najbardziej oburzało, była właśnie cielesność. Ta - jak mówili zgorzeleni - fizyczna rzeź była atakowana z niezwykłą furją.

Warto przy tej okazji przypomnieć co było pierwszą herezją w łonie heterodoksyjnego chrześcijaństwa. To bardzo ważne, zwłaszcza gdy pamiętamy, że ojcem herezji jest diabeł - niewątpliwie najwybitniejszy spośród znawców teologii. A to miał być cios w samo serce chrześcijaństwa, nie jakaś niszowa herezja drugo czy trzeciorzędna - ale arcy-hereszja, która gdyby się powiodła, zniszczyłaby chrześcijaństwo raz na zawsze. I co wybrał? Oczywiście chodzi o doketyzm czyli przekonanie o pozorności wcielenia. Dokeci wierzą, że tak naprawdę Bóg tylko na pozór pojawił się w ciele. Ogromna siła tego błędu wynika z tego, że on czerpie z najgłębszych pokładów pobożności i racjonalności. Bo poniżenie wcielonego Boga jest przecież kosmicznym skandalem. Zwłaszcza dla człowieka stojącego w obliczu Bożej transcendencji. Doketyzm czerpie z tego, co w człowieku najlepsze: z racjonalności - bo przecież Logos w ciele to absurd! i z pobożności - bo Logos w ciele to profanacja! Dlatego pokusa zakwestionowania

realnego wcielenia jest tak silna. Stąd pokusa by odrzucić, a przynajmniej wziąć w nawias już tylko choćby Betlejem i Golgotę. Powiedzieć, że Logos przyjął ciało pozornie, albo, że ludziom się tak tylko wydawało, że Logos naprawdę cierpiał na krzyżu. Weźmy w nawias ciało i krew i proszę - zostaną piękne wartości bez całej tej bzdurnej, żenującej historii z cudami, rybakami i obrzydliwą, niezrozumiałą rzezią na końcu.

A przecież chrześcijaństwo jest religią, która tworzy pomost między naszą rzeczywistością, a rzeczywistością transcendentną - i jest to możliwe tylko dzięki wcieleniu Chrystusa właśnie, który jest naszą Drogą, Prawdą i Życiem. Bez jego wcielenia nie tylko most, ale drugi brzeg znika nam z horyzontu. Wcielenie wynosi cielesność w obszar, którym nigdy wcześniej nie była. Ona jest dana jako dobra. Dlatego choć zepsuta, jest nam zadana jako doskonała. To część rzeczywistości, o której po stworzeniu Wszechmogący pomyślał, że jest dobra, bardzo dobra. I dotyczy to zarówno cielesności w postaci jaką człowiek posiada w chwili swojego urodzenia, tej w sile wieku jak i tej, która towarzyszy mu na starość. To znaczy, że wszystkie te formy cielesności są w jakimś zasadniczym sensie dobre. Nie zmienia tego ani przekwitająca uroda, ani choroba, ani starość. One są integralną częścią świata, który chrześcijanin kocha. Którego się nie wstydzi. I którego nie potępia! W postawie wobec ciała jest miejsce na wszystkie barwy. Jest czułość, zachwyt, współczucie, upojenie i ból. Nie ma miejsca na pogardę i odrzucenie.

**A.B.: Dlaczego w takim razie w powszechnym przekonaniu istnieje stereotyp chrześcijaństwa, a zwłaszcza Kościoła katolickiego, jako wroga ciała, w którym stosunek do ciała jest takim ostatnim bastionem manicheizmu, uważającym ciało za siedlisko zła i zniewolenia duszy.**

**D.K.:** Chrześcijaństwo zakłada wyższość pierwiastka duchowego nad pierwiastkiem cielesnym. We wszystkich metaforach, które są tyleż chrześcijańskie co filozoficzne, człowiek jest naraz *jeźdźcem i koniem*. Jechać ma tam, gdzie chce *jeździec* a nie tam gdzie chce *koń*, co oczywiście wcale nie oznacza, że *konia* należy zabić! Wręcz przeciwnie, trzeba go pielęgnować. *Religia ciała idealnego* jest próbą wmontowania transcendencji w ten pierwiastek *koński*. Kontynuując tę metaforę, byłaby to *religia konia idealnego*. Jeśli cielesność uznać za pierwiastek autonomiczny czy wyższy od rozumu i ducha, to oczywiście chrześcijaństwo jawi się jako antycielesne.

Dla chrześcijan ta perspektywa jest nie do przyjęcia! Aprobata dla ciała, która polegała by na wyrzekaniu się tego, co rozumne, duchowe, jest formą skarlenia człowieczeństwa. Rzecz nie polega na tym, żeby ciało potępiać, ale też nie wydaje się rzeczą szczególnie godną pochwały, aby ten, ponad wszelką wątpliwość, niższy pierwiastek miał władać wyższym. To byłby rodzaj absurdalnego nieporządku - samozagłady człowieczeństwa. Paradoks polega na tym, że tylko rodzaj uporządkowanej relacji między duchem a ciałem, sprawia, że ciało nie

zostaje potępione. Natomiast radykalna afirmacja ciała, czy religia, której przedmiotem kultu jest ciało, paradoksalnie prowadzi do tego, że w efekcie zostaje ono poniżone, a nie wywyższone.

**A.B.: Pytanie czy w praktyce duszpasterskiej świadomość integralności ciała i ducha oraz wzajemności była jasno artykułowana? Dla świadomego chrześcijanina są to być może rzeczy oczywiste. Ale dlaczego w powszechnym odbiorze chrześcijaństwo, a zwłaszcza katolicyzm prezentuje w najlepszym wypadku pewien dystans wobec ciała? Za tym poglądem przemawia też sposób, w jaki np. *teologia ciała* Jana Pawła II jest odbierana w kręgach specjalistów, czy komentatorów jako zupełnie nowatorskie spojrzenie katolicyzmu na problem ciała.**

**D.K.:** Nie znam *teologii ciała* Jana Pawła II na tyle, żebym mógł podjąć się takiej rekonstrukcji. W chrześcijaństwie wielokrotnie próbowały rozgościć się różne wątki nihilistyczne, manichejskie czy gnostyckie. Z pewnością są to ciała obce. Czasem też górę brał pewien rodzaj retoryki, który ocierał się o nihilizm. Chrześcijańska antropologia jest sztuką jednoczesnej medytacji ludzkiej nędzy i godności. To się nie zawsze udaje. Czasem pochwała ducha może robić wrażenie pogardy wobec ciała. Ten ton, a nawet może i skłonność do deprecjacji ciała bywał obecny - czasem nawet bardzo silnie, co z pewnością zasługuje na krytykę.

Druga strona medalu jest taka, że nadmierny krytycyzm wobec tradycyjnego podejścia brał się z tego, że wszyscy trochę podlegli szantażowi 1968 roku. Rzekomo wyzwolona cielesność dyktowała taki ton, że wszystko co nie odpowiadało jej standardom wydawało się tak okropne i przestarzałe, domagało się natychmiastowej rewizji i przemyślenia. Dziś ten terror zelżał więc może warto wrócić do tradycji, której umiar wydawał się takim skandalem.

**A.B.: Jak przełożyć to, o czym mówi chrześcijańska koncepcja ciała na nasz codzienny język? W jaki sposób ją propagować, jak dzisiaj robić PR chrześcijańskiemu przesłaniu o integralnej wartości duszy i ciała, które przyznając prymat duszy, nie przestaje afirmować ciała?**

**D.K.:** Nie wydaje mi się żeby było tak źle w sprawach ludzkiej cielesności, czy z chrześcijańskim spojrzeniem na nią. W Polsce odpowiedzią na propozycje eutanazyjne jest ruch hospicyjny, który w polskich warunkach - mówię to z najwyższą pewnością - ma motywacje ściśle chrześcijańskie. Jeśli w Polsce jest tak wielki opór wobec pomysłów eutanazyjnych, to właśnie dlatego, że chrześcijańska nauka o ciele, cierpieniu i śmierci jest jednak bardzo głęboko zakorzeniona. To właśnie ona znajduje swój wymiar praktyczny w ruchu hospicjów domowych. Widzę ogromną liczbę przedsięwzięć, które są formą

praktycznej akceptacji dla ludzkiej ułomności. Natomiast nie wiem jak jest z seksualnością. To nie jest temat, który mnie jakoś szczególnie inspiruje teoretycznie.

Trudno nie zauważyć jak głęboko pęknięta jest cywilizacja, która odrzuciła wzorzec chrześcijański. Ludzie, którzy przyjęli za swoją niechrześcijańską receptę na życie nie robią na mnie wrażenia ludzi spełnionych i szczęśliwych. To jest dowód nie wprost, ale przejmujący. To tak jak z badaniami dotyczącymi subiektywnego poczucia szczęścia u kobiet, badań, których wyniki tak irytują amerykańskie feministki. Jedna grupa decyduje się na model feministyczny, upatrując powołanie kobiety w zawodowej samorealizacji. Druga grupa przyjmuje podpowiedź tradycyjną, w której centralną rolę odgrywa rodzina. Okazuje się, że subiektywne poczucie szczęścia tej drugiej grupy bije na głowę pierwszą. Można oczywiście udawać, że to nieprawda albo dezawuować ten fakt przez argument fałszywej świadomości - ale to raczej żalony unik niż odpowiedź.

Drugim dowodem, też nie wprost, jest pewnego rodzaju implozja cywilizacyjna. Jeżeli jakiś standard życia okazuje się demograficznie samobójczy dla kultury, która go generuje, to trudno tego nie interpretować w kategoriach jakiejś skrajnej patologii. Jeżeli cywilizacja wytwarza model życia czy samorealizacji, który staje się dla niej drogą do samozagłady, to jest to faktyczne potwierdzenie negatywnych konsekwencji odrzucenia chrześcijańskiej koncepcji życia.

Nie mam pomysłów PR-owych na nawrócenie świata. Wierzę w siłę dyskursu i argumentów. Jak każdy chrześcijanin wierzę w Logos oraz w obowiązek misji racjonalizacji, jaką mają chrześcijanie. Dziś widać bardzo wyraźnie, że wiara okazuje się warunkiem rozumnego życia. Skutkami sekularyzacji znacznie częściej jest zabobon niż obiecany racjonalizm. My wierni jesteśmy programowi Sokratesa, nie bez przyczyny uważanego za patrona chrześcijańskiej wizji filozofii. Wiara jest impulsem i racją rozumności nie jej wrogiem. Najwyższy czas żeby poważnie zastanowić się nad skutkami sekularyzacji: humanizm bez Boga skutkował nieludzkimi utopiami XX wieku, afirmacja cielesności kończy się jej potępieniem, dechrystianizacja kultury zabobonem.

**A.B.: Czy dzisiaj w obliczu nasilających się ataków dwóch agresorów, skrajnego sekularyzmu, z jednej strony oraz radykalnego dżihadyzmu, z drugiej, chrześcijanin może pozostać przy postulowanej przez Pana strategii racjonalnej dyskusji czy też raczej powinien przyjąć postawę obrony czynnej? Casus Rocco Butiglione jest tu chyba dobrym przykładem na to, że, po pierwsze, sama wiara chrześcijańska i inspirowane nią przekonania moralne w sferze prywatnej są już kwestionowane. A po drugie, racjonalna argumentacja jest nieskuteczna, bo odmawia się argumentom wypływającym z moralności chrześcijańskiej zasadności. Jak w takim razie mówić głośno i w sposób przekonujący o chrześcijańskiej koncepcji ciała?**

**D.K.:** Nikt nam nie obiecywał, że będzie łatwo. Chrześcijaństwo jest religią z happy endem ale dla większości eschatologicznym, a nie doczesnym. Dlatego nie wykluczam żadnej z hipotez. Równie dobrze może się okazać że mamy do czynienia z krótką, przejściową korektą, po której Europa będzie chrześcijańska, jak i możliwości, że w Europie chrześcijaństwo zaniknie.

Z pewnością też nic nie zwalnia nas z wysiłku ewangelizacji. To my współtworzymy kulturę która nas otacza. Niechrześcijańską Europę tworzą ludzie, a nie jakaś „nowoczesność” czy jakaś „ponowoczesność”? To nie „ponowoczesność” wykluczyła Rococo Butiglione ze komisji sprawiedliwości, to nie ona tworzy nieprzychylnie chrześcijanom media czy prawo. Trzeba urządzać tę rzeczywistość tak by, była dla chrześcijan możliwa do zniesienia. Trzeba zabierać głos w sprawach które nam się nie podobają, działać w polityce, nie opuszczać forum - oczywiście respektując reguły demokratyczne i pluralistyczne. To nie jest tak, że prawo do wolności mają wszyscy poza chrześcijanami. Miejscem chrześcijan z całą pewnością nie są *katakumby*, tylko *agora*! To jest miejsce w którym powinniśmy być! Jedyną właściwą postawą na czas sekularyzacji jest ewangelizacja! Z całą pewnością droga chrześcijanina jest drogą w głąb i o tym się nie powinno zapominać, bo inaczej sferę publiczną zamienimy w zwykłą walkę o władzę. A nie o to nam chodzi. Nie widzę żadnych racjonalnych czy teologicznych racji kapitulacji.

**A.B.:** Nie pytam o dylemat „walka czy kapitulacja”, ale o metodę.

**D.K.:** Potrzebna nam metoda, która bierze pod uwagę, że w porządku celów pierwszeństwo ma człowiek - to jest ten problem. To dlatego metoda jest za każdym razem inna, i trudno mówić o regule. Nigdy nie wiemy na pewno jakie będą skutki podejmowanych przez nas działań. Jak pisze Łukasz w 17 rozdziale *Dziejów*, kiedy św. Paweł poszedł na Areopag, to skutek był niewielki. Poszedł za nim tylko Dionizy Areopagita i jedna, znana nam z imienia kobieta - Damaris.[1] Tak wyglądało pierwsze spotkanie chrześcijaństwa i filozofii. Porażka? Patrząc z perspektywy dwudziestu wieków filozofii chrześcijańskiej chyba było warto zacząć (śmiech).

Duch lata kędy chce! A nasze obowiązki są proste: praca nad sobą, czystość depozytu, świadectwo. Oczywiście zarówno świadectwo słowa jak i świadectwo czynu - to bardzo ważne. Dzisiaj często próbuje się przedstawić świadectwo jak by miało być tylko świadectwem czynu i to jeszcze w określonej postaci np.: działalności społecznej czy charytatywnej! A Kościół to nie jest jakiś NGO's. To jest przede wszystkim miejsce, w którym spotykamy się z Bogiem, a poprzez Niego z innymi ludźmi. To bardzo ważne, żeby chrześcijaństwa nie zamienić w aktywizm - bo to droga do nikąd.

Trzeba zatem robić to, co do nas należy, działać rozważnie, ale nie być bardzo zakłopotanym, że nie mamy precyzyjnej strategii na najbliższe 25 lat. Niezbędne jest zawierzenie.

**A.B.: Czy Pan nie uważa, że jesteśmy świadkami (na razie w roli obserwatorów) wielkiej wojny kulturowej, w której chrześcijaństwo jest główną ofiarą? Czy Rocco Butiglione to nie jest symbol wielkiej przegranej sprawy? Czy nie dajemy się spychać z powrotem do katakumb, gdzie przekonujemy do racji chrześcijaństwa już przekonanych?**

**D.K.:** Sprawa Rocco Butiglione raczej nam pomogła niż zaszkodziła. Ona dostarczyła argumentu przeciw bajkom, o tym, że właściwą i pożądaną formą koegzystencji chrześcijaństwa ze światem jest przeniesienie chrześcijaństwa w obszar prywatności. W publicystyce lat `90 w Polsce bardzo silne było przekonanie, że forum publiczne musi być całkowicie neutralne - i, że jest to rozwiązanie doskonale nie tylko dla świata, ale i dla Kościoła. Niektórzy mieli wątpliwości nawet co do istnienia przydrożnych kapliczek - które jak wiadomo brutalnie naruszają neutralność forum. I to wcale nie ateusze! Przeciwnie!

Nie trzeba być wielkim znawcą historii idei żeby wiedzieć, że znalezienie granicy między tym co publiczne a tym, co prywatne, jest niezmiernie trudne - a może w ogóle niemożliwe. Opresyjny neutralizm zawsze może uznać kolejną sferę naszego prywatnego życia za publiczną. Bo czy wychowanie dzieci, kultury zbiorowe, symbole religijne w powszechnie dostępnych miejscach, sposób w jaki się ubieramy itd. -

to sprawy prywatne czy publiczne? Krótko mówiąc rychło może się rychło okazać, że sfery prywatnej nie posiadamy wcale i sprawa Rocco Butiglione tę prawdę przypomniała!

W wypadku Rocco Butiglione, wszyscy którzy twierdzili, że najlepiej przenieść się do *katakumb*, zobaczyli, że nawet jak się przeniesiemy to i tak mogą tam przyjść jacyś urzędnicy Unii Europejskiej, twierdząc, że dyskredytuje nas sam fakt posiadania Katechizmu. Zatem pod tym względem dobrze się stało, bo rozwiany został pewien rodzaj szkodliwej iluzji. Nie da się dzisiaj wmawiać nikomu, że „neutralizm” jest czym innym niż formą agresywnej ideologii antychrześcijańskiej. To bardzo ważne. To wzmacnia postawy które mówią „nie! - na pewne rzeczy się nie zgadzamy i już!” Choć nie da się ukryć, napięcie jest bardzo duże. Chrześcijaństwo jest zdecydowanie nieakceptowane. W Polsce nie czujemy tego tak bardzo, bo ciągle jeszcze chrześcijanie są tu w przewadze. Ale ta sytuacja nie jest nam dana raz na zawsze. Trzeba bardzo mocno zabiegać o to, żebyśmy nie zostali wypchnięci z forum. Partia zwolenników tej niby neutralnej wizji agory jest bardzo wpływowa w mediach i może - co bardzo prawdopodobne - próbować obchodzić nas przez Brukselę.

W tej chwili sytuacja na krótko jest trochę lepsza niż w latach `90. Etap *zimnej wojny religijnej* był rzeczywiście wyjątkowo trudny, choć oceniam, że Kościół wyszedł z niego wzmocniony. Zwolennicy tezy, iż modernizacja i sekularyzacja idą w parze, którym trudno się pogodzić z faktem, że ich teoria się skompromitowała - twierdzili, że to Jan Paweł II przetrzymał Polskę w swego rodzaju „zamrażarce” i stąd procesy sekularyzacyjne przebiegają u nas tak wolno. Moja koncepcja jest taka, że jeżeli coś dodatkowo wzmocniło polski Kościół, to właśnie jego wrogowie. Bardzo gwałtowny atak na Kościół w latach `90, pomógł

wielu osobom przejść z *katolicyzmu politycznego* czy *kulturowego* w *katolicyzm świadomy* w *katolicyzm z wyboru*. Myślę, że to w ogromnym stopniu dotyczy Panów, którzy byliście w szkole średniej w latach `90, w czasach gwałtownej napaści na chrześcijaństwo i nie mogliście po prostu chodzić do kościoła tak jak chodzili Wasi rodzice, nie mogliście po prostu wziąć ślub, tak jak wzięli go Wasi starsi bracia, dla Was decyzja wejścia do Kościoła musiała być już bardzo świadoma. W tym sensie chwała wrogom Kościoła za tę łaźnię, bo uratowali kolejne pokolenie chrześcijan i pomogli Kościołowi przekształcić się i przygotować do nowych zadań. To przekształcenie byłoby dużo trudniejsze - jeżeli zabawić się w *teological fiction* - gdybyśmy na przykład mieli chadecki rząd, który by konserwował rytuały, a jednocześnie gdzieś bokiem wdzierałaby się kontestująca tę religijną politykę kultura popularna. Dzięki temu, że tak się nie stało, łatwiej było o mobilizację niezbędną do gruntownego przemyślenia wiary i tradycji.

Oczywiście zagrożenia nie maleją. Kiedyś w rozmowie z ks. Grzegorzem Rysiem swój optymizm co do przyszłości chrześcijaństwa w Polsce uzasadniałem ewangeliczną frazą o tym, że „bramy piekielne go nie przemogą”. Na to ksiądz Ryś, śmiejąc się, odpowiedział: „ale tam nie jest napisane, że to dotyczy polskiego Kościoła”.

**A.B.: Świadectwo słowa i czynu - czyli pozostaje nam robić to, co pierwsi chrześcijanie?**

**D.K.** Metafora depozytu jest bardzo mocna - żyjemy między pokoleniem, które nam coś przekazało i pokoleniem, które powinno mieć szansę wziąć to od nas w stanie przynajmniej nie uszczuplonym. To jest cała robota i nie jest to w sensie teoretycznym bardzo skomplikowane...

**A.B.** Ale czy świadomość tego, o czym Pan mówi jest powszechna i czy to naprawdę jest takie nieskomplikowane dzisiaj?

**D.K.** Proste jest w tym sensie, że cel łatwo opisać. Odpowiedź na pytanie - jak to zrobić? - nie jest już taka oczywista. Z pewnością nie jest to możliwe bez rozumu, miłości i łaski. Przede wszystkim łaski. Dlatego ważne by o tym co robimy nie myśleć w kategoriach sukcesu i klęski, bo tak naprawdę mamy zrobić tylko tyle, ile jesteśmy zdolni zrobić i nic więcej. Oczywiście to jest na ogół znacznie więcej niż robimy (śmiech), ale - mamy to czarno na białym - zadanie nie jest ponad nasze siły.

**J.L. Próbując powiązać wątek ewangelizacji z zagadnieniem cielesności, chcę zapytać co pan sądzi o diagnozie Księdza Krzysztofa Paczosa z jego najnowszej książki „*Czekając aż przyjdzie. Radykalizm chrześcijański w epoce postindustrialnej*” [2], gdzie w eseju o czystości pisze ksiądz tak, że rzeczywistość post-hedonistycznego świata jest wielką nadzieją. Świadczy bowiem o ogromnym pragnieniu bliskości i miłości oraz odkrycia prawdy. W związku z tym nie powinniśmy pozwolić sobie na odragę wobec kultury współczesnej, tylko powinniśmy przyjąć postawę nadziei i oczekiwania.**

**D.K.** Intrygująca książka ks. Paczosa to temat na dłuższą rozmowę, bo uważam wiele rzeczy w tej książce za wysoce dyskusyjne. Zwłaszcza pewien socjologizm i historyczny determinizm, czy może rodzaj fatalizmu, który wydaje mi się trudny do przyjęcia, a przy tym dość zaskakujący u chrześcijańskiego autora. Natomiast bardzo przejmująca wydała mi się myśl o czystości jako o ważnym przedmiocie medytacji dla współczesnego chrześcijaństwa.

Oczywiście w podejściu do czystości trzeba być bardzo ostrożnym. Paczos jest zakonnikiem i to wyznacza tok jego rozumowania. Pisze o cnocie zakonnej. Mnie zaintrygowała czystość wyjęta z tego kontekstu. Czy możemy mówić o czystości w rodzinie - ale nie w sposób pojmowany dosłownie - jako wstrzeźliwość seksualna - lecz jako rodzaj postawy duchowej.

To trochę tak, jak z cnotą ubóstwa, które może być traktowane dosłownie, ale nie zmienia to faktu, że ubóstwo chrześcijańskie to przede wszystkim rzeczywistość duchowa a nie notarialna. Można być niewolnikiem rzeczy materialnych, będąc żebrakiem, a można być całkowicie wolnym od dóbr cielesnych, będąc miliarderm. Czy z czystością nie jest podobnie? Czy nie jest ona bardziej zjawiskiem duchowym niż seksualnym? Jeśli ubóstwo duchowe polega na wolności od dóbr materialnych, to czy czystość nie może być rozumiana jako wolność rozumu i ducha od spraw cielesnych - nie zaś jako np.: idea seksualnej wstrzemięźliwości małżonków - która w końcu skutkować będzie antychrześcijańską ideą odrzucenia małżeństwa. Słabo się na tym znam, ale chodzi mi o to czy czystość nie może być pewną formą seksualności uporządkowanej - pewnego sposobu na uporządkowanie tego niezwykłego żywiołu, który tak łatwo może obrócić się przeciwko ludziom. Myśl by wrócić do tak pojętej idei czystości wydaje mi się ważna, bo gołym okiem widzimy dziś, że nieczystość okazuje się barierą - sprawia, że to co wydaje się kwintesencją zespolenia - stało się czymś co ludzi rozdziela, a nie łączy. Człowiek, który redukuje się do cielesności, w którym *koń* zaczyna rządzić *jeźdźcem*, staje się niezdolny do relacji z drugim człowiekiem. Jest taka rzadko cytowana fraza, ks. Jana Twardowskiego - „*radości łączą dusze a ciała - cierpienie*”. Być może rzeczywiście istnieje ogromny głód czystości, pojętej jako zdolność przebywania z innymi ludźmi w sferze innej niż seksualna. Trudno wątpić, że nieczystość może stać się barierą także między małżonkami. Czytam, że kryzysy małżeńskie mogą być rozwiązywane przez zakup odpowiedniego typu pejcza czy bielizny i jakoś nie bardzo wierzę w to, że pejcz i wibrator pomagają ludziom spotkać się ze sobą. Oczywiście potrafię sobie wyobrazić, że trudności w sypialni mogą być dla kogoś poważnym kłopotem, ale ten sposób na rozwiązanie problemu wydaje mi się wyjątkowo nierozumny.

**A. B. Czy możemy uznać że, syndromy choroby - czyli w tym przypadku problemy z czystością - są sygnałami pragnienia czegoś pięknego, czystego?**

**D. K.** Myśl, że skłonność do jakiegoś zbiorowego szaleństwa - jest zarazem przejawem gwałtownej żądzы dobra jest błyskotliwa, ale nie musi być prawdziwa. Czy to co się wokół dzieje dowodzi szczególnego pragnienia czystości? Nie wiem... Ale opuszczając poziom rozważań religijnych warto zadać sobie pytanie politycznie niepoprawne, pytanie o nieczystość, jako receptę na życie. Każdy z nas zna ludzi, którzy poszli tą drogą. Może dotąd po prostu nie trafiłem na szczęśliwego hedonistę, ale ci których spotkałem to najczęściej ludzie pokiereszowani, połamani, rozedrgani. Trafnie oddaje to platońska metafora noszenia wody w sicie. Obiecuje się spełnienie dając namiastki. Spełnienie się ciągle przesuwа w czasie i jest nie do dogonienia. Nie namawiam żeby się delectować nieszczęściem tych ludzi - ale z pewnością warto nie ignorować ich doświadczenia.

Dlatego wydaje mi się, że warto wrócić do tradycji ćwiczeń duchowych, które przygotowują człowieka do duchowej czystości. Mamy szczęście być dziedzicami gigantycznej fortuny duchowej. W chrześcijańskiej

bibliotece jest wiele lekarstw na ukąszenia skorpiona. Warto ich szukać, bo powstały nie dla zabawy lecz po to by pomóc w drodze do zbawienia.